TK" 12.IX.76
Nr 37

TEATR

TWORZYMY ZESPÓŁ RODZINNY

Rozmowa z IZABELLĄ CYWIŃSKĄ

Na zdjęciu: Janusz Michałowski (Cyranek) i Wanda Ostrowska (Adela) w sztuce „Wijuny" Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz w reżyserii Izabelli Cywińskiej.

Fot. JACEK KULM

Jeśli się nie mylę, to właśnie zaczyna się czwarty sezon tu, w Teatrze Nowym, pod Pani dyrekcją i kierownictwem artystycznym. Jak Pani ocenia ten okres spędzony w Poznaniu?

Odpukać, okazuje się, że pobiłam rekord dyrektorowania w teatrach poznańskich — rekord czasowy. Minęły trzy lata, jak tutaj pracuję, a to oznacza, że przekroczyłam tę magiczną cyfrę, przed której upływem koledzy-dyrektorzy w Poznaniu zwykli zmieniać teatr. W ciągu tych trzech sezonów wystawiliśmy 12 sztuk. Nie robiliśmy zbyt dużo i szybko: cztery premiery w ciągu roku — celowo, aby dopiąć spektakle artystycznie. Publiczność Teatru Nowego jest bardzo wymagająca... Bo publiczność mamy swoją, która przychodzi wiernie i utrzymuje z nami kontakt.

Kiedy przyszła Pani z Kalisza do Poznania, by objąć Teatr Nowy, miała Pani na pewno jakiś swój ideał teatru, czy udało się go zrealizować?

Myślę, że w 70 proc. tak. Przede wszystkim udało nam się zgromadzić własną widownię i stworzyć pewien ruch wokół teatru. To znaczy wykorzystać społeczną funkcję teatru, nadać mu rolę niejako profesjonalnego domu kultury.

Przy Teatrze Nowym działa stała galeria plastyki, co miesiąc mamy wernisaż. Zapraszamy plastyków młodych, często przed debiutem jeszcze, z Poznania, z Wielkopolski — ale nie tylko. Ta forma łączenia dwóch sztuk: plastyki z teatrem wydaje mi się słuszna. Z jednej strony jest to chyba duża sprawa dla młodych artystów, których prace ogląda codziennie kilkaset osób, którzy wychodzą ze swoją sztuką. I chyba też sprawa dla widzów przychodzących do teatru.

Istnieje również Klub „Proscenium", którym kieruje Milan Kwiatkowski, kierownik literacki Teatru Nowego — a którego członkowie biorą udział w teatralnych dyskusjach, oglądają próby, mają specjalistyczne wykłady.

Gdy zaś idzie o artystyczne sprawy teatralne, ostatni sezon był dobry dla nas...

Otrzymaliście wiele nagród. Więc: na XVI Kaliskich Spotkaniach Teatralnych nagrodę aktorską w „Szkole błaznów" M. de Ghelderode w reżyserii Conrada Drzewieckiego (za kreację aktorską Janusza Michałowskiego), na II Opolskich Konfrontacjach Teatralnych aż trzy nagrody za sztukę Witkiewicza „Oni", w Pani reżyserii — aktorską, reżyserską i scenograficzną. I podobnie aż trzy nagrody na XVII Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu za sztukę „Wijuny" Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz: aktorską za kreację Joanny Orzeszkowej, nagrodę za scenografię dla Kazimierza Wiśniaka i nagrodę reżyserską dla Pani.

Nie wiem, czy festiwale i festiwalowe nagrody są oceną pracy, ale cieszyło nas, że był oddźwięk. To jest ważne, to się liczy, na pewno.

Wracając jeszcze do tych zrealizowanych ideałów. Jak określiłaby Pani swój teatr — ja jako widz dodam: teatr dyskutowany, nieugrzeczniony?

Staramy się, aby był to teatr aktorski, zespołowy.

Stawia Pani chyba na młodych, sądząc po ilości debiutów — reżyserskich czy scenograficznych — a także po zespole...

Tak. Przedstawienie „A jak królem, a jak katem będziesz" Tadeusza Nowaka, które wybraliśmy na chrzest Teatru Nowego, robili młodzi: reżyserował spektakl Janusz Nyczak, wtedy jeszcze student Wydziału Reżyserii PWST, autorzy scenografii i muzyki — Wacław Kula i Piotr Kałużny byli dopiero absolwentami. Spektakl „Opery za trzy grosze", cieszącej się zresztą do dziś wielkim powodzeniem, przygotowywał młody reżyser z Meksyku, absolwent łódzkiej PWSTiF — Raul Zermeno. Dzisiaj Janusz Nyczak jest w Teatrze Nowym na etacie reżyserskim, nadal pracują dla nas młodzi scenografowie. Więc widzi pani, trzymam z młodymi, choć zapraszamy także artystów uznanych, jak Adam Hanuszkiewicz, Conrad Drzewiecki. Zespół aktorski od początku jest taki sam, niezmienny — co prawda, ci młodzi trochę się zestarzeli. Tworzymy teatr rodzinny, wszyscy się doskonale znają; ale, jak w każdej rodzinie, zdarzają się konflikty.

Więc teatr aktorski, rodzinny, a pod względem linii repertuarowej?

Nie stronimy przed sztukami współczesnymi: długo graliśmy Nowaka, teraz z powodzeniem idą na afiszu „Wijuny". Lecz nie zapominamy również o klasyce. Interesują nas sztuki dotyczące problemu samookreślenia człowieka, odpowiedzialności wobec grupy — mówiąc najogólniej. I jeszcze: problem zagrożenia, sytuacja jednostki w momencie zagrożenia, kiedy trzeba się obnażyć, zrzucić maskę. To można było odnaleźć w „Onych" Witkacego, w „Gigantach z gór", których reżyserowałam.

Tymczasem ostatnio sięgnęła Pani po „Skiza" Zapolskiej...

Przepadam za Zapolską; reżyserowałam już swego czasu „Ich czworo" i „Moralność pani Dulskiej". Staram się bronić tę autorkę, którą teatr traktuje wciąż powierzchownie. „Skiza" wystawiano na przykład zawsze jako komedię salonową, ja chciałam zrobić z tego tragifarsę, dramat o starzeniu się.

Choć, przyzna Pani, z reguły Pani nie sięga po lżejszy repertuar.

Wydaje mi się, iż jest tyle ważnych problemów, że zostawiam tę domenę telewizji. Mimo wszystko nie odżegnuję się zupełnie. I jestem na przykład na etapie poszukiwania jakiejś pozycji musicalowej dla repertuaru na bieżący sezon.

W tej chwili mieliśmy premierę „Zabawy jak nigdy" Saroyana w reżyserii Wandy Laskowskiej, w przygotowaniu jest „Dzień dobry i do widzenia" Athola Fugarda, Janusz Nyczak reżyserować będzie „Letników" Gorkiego. Ja z kolei jadę do Związku Radzieckiego reżyserować „Ich czworo", potem już w Poznaniu pracować będę nad „Turoniem" Żeromskiego.

Chciałabym pani pokazać małą salę, którą planujemy otworzyć przy dużej scenie Teatru Nowego, ale jeszcze nie gotową. Będzie to sala na sto osób, takie laboratorium aktorskie i reżyserskie, gdzie można by szukać nowych środków wyrazu w plastyce, w pantomimie, wystawiać sztuki odbiegające od konwencji pudełka — niekoniecznie stricte dramat. Spektakle będą odbywać się wieczorem o dziesiątej.

Wracając jeszcze do Pani prac reżyserskich: ubiegły rok przyniósł Pani wojaże artystyczne po Stanach Zjednoczonych. Czytaliśmy o sukcesach, jakie Pani odniosła, wystawiając w Nowym Jorku „Śmierć Tarełkina" i o sukcesie aktorskim Janusza Michałowskiego w głównej roli. Jakie wrażenia Pani wyniosła z kontaktu z tamtejszymi aktorami i tamtejszymi teatrami?

Zostałam zaproszona przez Slavic Theatre Centre, aby pokazać „Śmierć Tarełkina", spektakl, który od kilku lat szedł w Teatrze Nowym. Na scenę amerykańską przeniosłam przedstawienie w tym kształcie, w jakim robiłam je w Polsce; tylko — Janusz Michałowski grał po polsku, a reszta aktorów po angielsku. Pracowałam z nowym zespołem przez sześć tygodni, nie było to łatwe, powiem szczerze, bo aktorzy zza oceanu nie bardzo rozumieją „duszę słowiańską". Przedstawienie się podobało, szło w Nowym Jorku 20 razy. Następnie jako stypendystka pojechałam w objazd po USA, po teatrach i teatrzykach.

Morał z tej podróży?

Byłam dumna z polskiego teatru. Chociaż niektórymi cechami moglibyśmy się zarazić od tamtejszych teatrów — myślę o nurcie nieprofesjonalnym, nie o teatrach komercjalnych. Nauczyć się ich zapału, tego, że zespół czegoś bardzo chce, że tworzy teatr żywy...

Wróciła Pani do kraju i zabrała się Pani do nowej dziedziny, mianowicie filmu. Pani filmowy debiut — nastrojowa, pełna poezji „Historia o starym wdowcu" Petera Hacksa, którą telewizja przedstawiła w sierpniowy poniedziałek (szkoda, że właśnie w okresie wakacyjnych ogórków) — wypadła bardzo udanie. Dlaczego Pani wybrała na debiut ten utwór? Dlaczego w ogóle sięgnęła Pani po film?

Nie obchodziła mnie tutaj tyle literatura, co obraz. Sam temat: ludzka droga krzyżowa — był niejako pretekstem do myślenia plastycznego. Całość wyobraziłam sobie obrazem. A że zabrałam się do filmu? — to chyba normalne, że zaczyna się szukać nowych artystycznych możliwości. Już po tym jednym filmie muszę się przyznać, że reżyser w filmie jest o wiele bardziej samotny niż w teatrze — pozostaje sam z montażem i od niego zależy ostateczny kształt. Jest bardziej zdany na siebie samego niż reżyser teatralny, który do końca pracuje z zespołem.

Zapewne coś nowego — filmowego — szykuje Pani znowu dla telewizji, czy się mylę?

Tak. Ale nie zdradzę co, żeby ktoś nie podkradł tematu.

Rozmawiała:
RITA GOŁĘBIOWSKA